

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 27 maja 1916 roku.

№ 22.

Gustaw Daniłowski.

POWIEŚĆ.

## LILI.

6

Cała ta sprawa stała się dlań już tylko ciekawym problematem, a nawet tematem, co do którego starał się Lilę ostrożnie badać.

Ale Lilę zrecznie wymykała się z sideł, gdyż rozumiała, o co chodzi.

To też kiedyś, wybierając te najczulszą chwilę, gdy wyczerpana namiętność zamiera i następuje moment słodkiego osłabienia, serdecznych, lotnych wzruszeń, poczęła mówić cichutko:

— Słuchaj, Stef, ja wiem, że serce moje wydaje ci się zagadką, którą chciałbyś rozwiązać. Trudno mi o tem mówić, ale jeżeli komu mogę coś o tem powiedzieć, to może tobie najwięcej, jesteś przecie poeta i znasz zawilść duszy ludzkiej. Łatwiej ci może będzie zrozumieć i mnie może wyjaśnić ci to, czego sobie sama dokładnie uświadomić nie jestem w stanie. Serce mam jedno, jak wszyscy, ale jakby w różnorodne tryby wycięte; o jedne ząbiesz się ty, o drugie — on. Każdy z was jakby do innej dziedziny dopasować się umie.

— Gdybym mogła znaleźć człowieka, który byłby jakby stopem was obu w jedno, przylgnęłabym doń całkowicie, mogłabym żyć z nim całą istotą, całą duszą, nie obawiając się żadnej straty. Żle mówię — całym sercem i całą istotą lgnę teraz do ciebie, wszystkam twoja. Kocham cię, jak tylko kochać można, oddana ci cała, bo to, co do niego należy, jest jakby uspięne w letargu, bezwładne, choć wiem, że istnieje. Ale, Stef, to istnieje, to zrazu szepać, a potem wołać, a potem krzyczeć zaciebie i czyż z tym krzykiem, obcym sobie, mógłbyś być szczęśliwy? Pomyśl, że gdy mnie zabra-

knie, że wyjechałam uciszyć się, że zaś nie będę samotna, że będę się cieszyć szczęściem innym — tem samym, lecz nie takim samym, i martwić twym smutkiem, to, powiedz, czyż kochanie na tem polega, by zardzościć radości temu, kogo się kocha? Jaby się cieszyła, gdybym się dowiedziała, że bezemnie się bawisz, że masz przyjaciółki, przelotne miłośki, że, jednym słowem, używasz życia, które jest jedno, spędzasz przyjemnie w rozrywkach czas oczekiwania, pewna, że gdy przyjadę, stawiasz kropkę nad tem, co było, i znowu jesteś mój.

W tem ciąglem odnajdywaniu się, w tem odzyskiwaniu się tkwiłby jakiś niezwykły urok dla nas dwojga, dla nas trojga, a dla mnie najwyższe szczęście, o którym nieraz myślę i marzę. Bo słuchaj, czyż ja nie rozumiem, że miłość moja was rozdziela, że im silniej łączę was w swem sercu, tem większe między wami staje się rozdarcie i czyż można, — dodała głosem przesiąkniętym łzami — czuć się dobrze, widząc, że stwarzam miłości nienawiść pomiędzy tymi, których kocham?!

Ja się między was rozdzielałam sprawiedliwie, daję często ponad siły, więcej nieraz, niż pragnę, ale wam zawsze za mało, wybyście mnie chcieli rozszarpać — ni mnie ni tobie — to jest wasza męska logika i zasada — rozplakała się.

— Tak — łkała — to jest logika, którą się pysznicie, prawo wyłącznego władania, nie liczące się z niczem. O jakież to straszne, nawet upokorzące... — szlochaniem zata-mowało jej głos.

— Lili, nie płacz. — uspokajał ją niejako z obowiązku Świda — to,

co mówisz, gryzie mnie w serce, bo przykro jest, mo, jak ci to powiedzieć... nie przyjęte są w dziedzinie amora wszelkie porównania... — ostatni wyraz wymówił ze szczególnym naciskiem.

Lilę zerwała się z pościeli, jak ukąszona, i głosem prawie przerażonym, cała w krwawym rumieńcu, jęknęła:

— Coś ty zrobił, Stef!... jak mogłeś — zanosła się od płaczu i wybiegła do siebie.

Na kilka dni zapanowały mocno naciągnięte stosunki; poeta chodził, jak struty, Lilę czuła się ciągle onieśmielona.

Świda pierwszy poczuł się głęboko winnym; długo namyślał się, jak błąd naprawić, zle słowo cofnąć, wrzście pewnego wieczoru ukląkł, ogarnął jej nogi i począł mówić silnie wzruszonym głosem:

— Lili, tyś mnie nie zrozumiała, miałem na myśli jedynie zalety ducha, charakteru, niezręcznie się wyraziłem, mówiłem jedynie o sferze sentymentu... językby mi sobie kazał uciąć, że mi się tak niefortunnie zwinął — słuchaj, nie będziemy już o tem mówili nigdy, nigdy... zapomnij i ja się postaram zapomnieć o wszystkim; będę cię witał zawsze tak, jakbyś wróciła z dalekiej podróży, choć chyba przecie nie odjedziesz, nie gniewaj się, Lili...

A ona wzięła jego skronie w ręce i rzekła cicho:

— Ja się nie gniewam, Stef, tylko, widzisz, wsunąłeś mi w serce żądło, które boli, ale ranka zwolna z tego jadu się wytrawi... wszystko minie. Minie wszystko, osypią się płatki ciała, a gdy zostaną same dusze, to można będzie błękitnymi cieniami obcować serdecznie, razem i jednocześnie bez urazy i żalu. Gdybym dostała ospy, gdyby los mnie zeszcpecił, pogodzilibyście się zape-wne łatwiej; może na starość, jak dożyjemy, ale teraz... ja się nie gniewam, Stef, może nie jestem z tej samej, ale z podobnej gliny, więc was

trochę rozumiem, wiem, że są nietylko duszy, ale i krwi tęsknoty. Pocałuj mnie dobrze, jak człowiek!

Świda począł całować jej ręce i stopy i, oddając jej dobranoc, szepnął:

— Daj się pocałować w serce!

Lili popatrzała nań badawczo, a widząc w jego oku płomień, rzekła ze smutnym uśmiechem:

— Dobrze, ale pozwól sobie powiedzieć, że, gdyby kobiety miały je na czubku głowy a nie za jędrną pierśią, nie szukałybyście ich serca wcale!

— Otóż właśnie nie — przeczytny się Świda, pocałował jej złote włosy, otulił kołderką i wrócił do siebie, by pisać.

Nie szło mu jednak; myślał nad tem, co zaszło w ostatnich czasach, i dochodził do wniosku, że Lili niezwykle dojrzała umysłowo, że dużo przemyślała, widząc zaś kiedyś, jak coś notuje w zamkniętym na klucz pamiętniku, zdjęła go ciekawość przeczytać, ale bał się prosić, by znowu nie potrafić o drażliwą strunę.

Powoli załagodziło się wszystko. Życie potoczyło się zwykłą koleją, życie we dwoje, pozbawione znajomości i szerszych stosunków, ciche, chwilami słodkie, często jednak dla Lili niełatwe, a coraz trudniejsze w miarę, jak Stefan całkowicie wchodził w temat swej powieści.

Poeta do tego stopnia dawał się porywać marzonym światom, ludziom i sytuacyom, że chwilami; ztracał niemal całkowicie poczucie rzeczywistości: stawał się tak roztrągniony, że mógł szukać przedmiotu, który trzymał w ręku, na zapytania nie odpowiadać wcale, lub ni w pięć ni w dziewięć, sypać popiół od papierosów gdziebądź, czasem we własną szklankę, prowadzić dziwaczny tryb życia: pisać po nocach, spać we dnie i nieraz, nie licząc się z nastrojem Lili, w niezwykłych, nagłych podrażnieniach zmysłowych stawać się prawie brutalnym.

Chcąc utrzymać w tym nienaturalnym sposobie życia jaką-taką równowagę, Lili była zmuszona ustawicznie czuwać, zdobywać się na niezwykle ofiary, wyczerpywać swe siły tą twórczością Stefana.

Jedyną jej nagrodą było słuchać nie napisanych ustępów, co Stefan czynił na jej prośbę, ale niechętnie z usprawiedliwionych zresztą powodów: brulion jego był bardzo nieczytelny, pełen rozmaitych, dla niego tylko zrozumiałych skrótów, zygzaków, okresów ledwie tylko dla pamięci; oznaczonych.

W tej postaci rzecz nie mogła wywierać odpowiedniego wrażenia, wielokrotnie musiał dopełniać treść komentarzami, wreszcie zniechęcony przerywał i mówił:

— Lili, to jest na nic, to jest tak, jakbym cię prosił, byś mi dała pokosztować surowy, niewyżyłowany befszyk; przyrzekam ci za to, że o-

trzymaś pierwszy z pod prasy egzemplarz mojej „Salome“, i mogę powiedzieć, że w książce tej dużo będzie z tego, co pochodzi z ciebie: przy tobie zrodziła się ta moc namietności, która w tych kartach płonie, od ciebie uzyskałem dar otulania czarem spraw miłości, przepajania ich nieodpartym powabem. Sądzę, że dobrze to napiszę, bo doszedłem do tego punktu, w którym się twórca zrasta z tematem, czuję, że on już żyje we mnie, jak płód w łonie matki, i że nie poronie.

— I będzie głowa św. Jana i tanciec Salome?

— Wszystko będzie, Lili, nawet półmisek. Choć wszystko to będą jedynie akcesorya; pozatem powieść można będzie nazwać współczesną — odwieczna sprawa wzajemnych ciężarów płci, a jednocześnie ich dramatycznych i potężnych bojów, z rozkoszniei pauzami zawieszenia broni i słodkich chwil sojuszu i przywierza. Tak, w miłości jest coś z pędu i okrucieństwa wojny, bo czyż nie odczuwamy w najsłodszych chwilach jakichś budzących się srogich i drapieżnych instynktów, które migają nagle wśród pieszczot, jak ostrza noża. U ludzi normalnych są to tylko przebliski, świadczące jednak o tem, że możliwe jest morderstwo z miłości, że można w dzikim szale zapragnąć, by z ciała kochanki bluznęła spieniona jej krew.

I wiesz, że nierazbym chciał oblać ciebie purpurą, roztworzyć so-

bie żyły, i że tacy czerwoni zapalilibyśmy się jakimś nowym ogniem, spłonęli i ulecieli w niebo gorącym obłokiem, a potem spadli rosą na krzak róży i rozkwitli nanowo w pasowych, pachnących jej kwiatach.

— O chłopcze mój, co się tobie śni, co ci się w głowie pali; czyż nie starczy ci moje różowe policzki i purpurowe usta? — odpowiadała, porwana gwałtownością jego wymowy, Lili.

I tego rodzaju jego zwierzenia, wybuchy uczuć, uskrzydłone rozhułkaną wyobraźnią, upajały ją, jak narkotyki, i przejednywały odwracając się już w inną stronę serce.

— Stef ślicznie umie mówić o miłości i z pewnością cudnie to napisze — twierdziła.

— Czy tylko mówić? — dopytywał się Stefan.

— Twoje słowa starczą za czyny, a nawet je przerastają; wiesz, że gdy myślę o tobie, to prawie na jawie słyszę twój głos, widzę twe mądre czoło, twój tors i ramiona i rozumiem, dlaczego znakomitych ludzi przedstawiają w popiersiach, bo... — urwała.

— Co, bo?

Lili zmieszała się i, chcąc odwrócić tok myśli, poczęła go szybko całować, mówiąc — masz, masz — a teraz pisz dalej — i wybiegła do swego pokoju.

*Dalszy ciąg nastąpi.*

ST. DZIKOWSKI.

## Na froncie wołyńskim.

3

We wsi szukaliśmy długo naszego trenu bojowego. Wszędzie wily się czerwone języki ognisk żołnierskich. W słabym ich świetle dostrzegliśmy zarysy chałup, milczące, opustoszałe oparzeliska, gdzie sterczały tylko nagie kominy, albo wznosiły się zwęglone, czarne kikuty drzew. Wreszcie koło spalonego dworu natknęliśmy się na nasze wozy i kuchnie polowe.

Właśnie wyjeżdżano z żywnością na to miejsce, gdzie rozłożył się pułk nasz, początkowo na rezerwę przeznaczony. Ruszyliśmy razem po drodze niepewnej, nieznannej jeszcze nikomu, straszącej w nocy wybojami i trzesawiskami. Posuwaliśmy się z trudem powolutku, świecąc elektrycznymi latarkami. Mijały nas ustawicznie wozy i kuchnie jeszcze dymiące, które wręcały już z linii. Tuż koło nas rozlegał się loskot baterii austriackich i niemieckich. Lufy armat, zwrócone w stronę drogi, strzelały nieraz prosto w twarz. Zdawało się, że czujemy doskonale wchro-

wy pęd mknących tuż nad głowami pocisków.

Niespodziewanie z ciemności wyrzuciły się postacie nowych żołnierzy i podbiegały szybko do kuchni i wozów, które przystanąły i zaczęły rozdawać jedzenie.

Właśnie dwa bataliony drugiego pułku wyruszały z pozycji rezerwowych na pierwszą linię boju. Nie było już wiele czasu. Żołnierze napełniali swoje „menażki“ i manierki. Nieraz idąc jedli chciwie wielkie kawały gotowanego mięsa. Zagryzali chlebem i popijali rumem. Potem biegli szybko dalej, równając się w szeregach. Skręciliśmy w milczeniu z drogi na teren podszyty tu i ówdzie małym krzaczkami. Mżył drobny deszcz. Co chwila ktoś zapadał się w zdradliwym, bagnistym terenie i kłął z cicha. Nogi chlupotały ciężko po rozkołysanym kożuchu mokrej łąki. Błądziliśmy długo w ciemnościach, szukając miejsca przeznaczenia. Rakiety roztaczające dokoła białe, metaliczne światło wylatywały

z sykiem w górę. To znówu po ciemnych polach przesuwawa się zwolna trójkątna smuga reflektora, powołując do życia kształty, drzemające w ukryciu. Wtedy żołnierze nasi bez komendy padali pokotem na ziemię, aby ukryć się przed czujnym wzrokiem nieprzyjaciela. Dokoła nas grzechotały strzały karabinowe. Zdawało się, że jesteśmy otoczeni; niemi ze wszystkich stron. W pewnej chwili usłyszeliśmy nieomylnie odgłosy jakiegoś ataku. Tempo strzałów stało się gorączkowo przyspieszonym, tak szybko, że zlewało się w jeden przeciągły łoskot. Tylko karabiny maszynowe trąkotały pedantycznie, miarowo. Ogień karabinowy obejmował nas od czasu do czasu. Kule padały, jak gęsty grad chmury, która, tocząc się naprzód, zawadza jednym skrzydłem. Świstały koło uszu, zwyczajnie, dobrze już znane — pękały w powietrzu t. zw. „ekrazytówki”. Kilku ludzi było rannych, między nimi chorąży Leopold Spiza.

Było już dobrze po północy, kiedy wreszcie zajęliśmy przeznaczone dla nas rowy strzeleckie, niedawno przez rosyjan opuszczone. Batalion drugi i część trzeciego obsadził pierwszą linię, dwunasta kompania w odległości kilkudziesięciu kroków za ledwie zajęta rezerwa. Kwaterna pułkowa pomieściła się tej nocy w małej norze, wygrzebanej na przedzie w piasku, gdzie z trudem można było wyprostować zmęczone członki. Pułkownik J., który nigdy ani na krok nie opuszczał swego żołnierza, tam właśnie spędził noc, leżąc, jak wszyscy na gołej ziemi.

Korzystając z osłony nocy, żołnierze nasi rozpoczęli staraniem się okopywać. Trzeba było rowy niejako na drugą stronę przenicować, odwrócić ich front w przeciwnym kierunku, a przede wszystkim pogłębić, pogłębić za cenę życia wielu. Mogła to jednak przeprowadzić z zupełnym powodzeniem tylko jedna dwunasta kompania, która miała do czynienia z podatnym, piaszczystym gruntem. Cała jednak przednia linia znalazła się w najgorszych warunkach. Płytki rów zaledwie chronił od kul karabinowych, można się tam było posuwać tylko na czworakach. Pogłębianie lichych okopów było niemożliwe. Za każdym ruchem łopaty przybywało tylko wody i błota. Próbowano obkładać je darniną, ale okazało się to nadmiernie uciążliwym i trudnym do wykonania.

Natychmiast po zajęciu nowych pozycji przeprowadzono linie telefoniczne. Przedtem jeszcze uzyskano połączenie: na lewym skrzydle z brygadą niemiecką, na prawym z dziewczętym pułkiem austriackiej obrony krajowej.

Tak zeszła noc pełna niepokoju, oczekiwania i przygotowań pospiesznych. Ustawiczny ogień nieprzyjaciela, znajdującego się od nas w odległości kilkuset kroków zaledwie,

nie pozostał bez rezultatu. W przeciągu kilkunastu godzin zaledwie pułk drugi; poniósł dosyć dotkliwie straty w zabitych i rannych. Po między tymi byli następujący oficerowie: podchorąży Krzywonos Jan (ranny), podporucznik Bittner Ludwik (ranny) i podporucznik Biestek Stefan (ranny).

Nad ranem zginęła także młoda, bohaterska dziewczyna, która pełniła służbę sanitariusza w trzecim batalionie. Nazywała się: Marya Błaszczykówna, pochodziła z Łodzi, w szeregach znana była pod pseudonimem Zaleskiego. Opatrując rannego, padła ugodzona kulą w głowę.

Kiedyśmy wszyscy znużeni usnęli wreszcie nad ranem, zbudził nas gwałtowny ogień artylerii austriackiej i niemieckiej. Po raz pierwszy w życiu mogłem z tak bliska obserwować działanie ciężkich armat. Nieraz z rozmaitej odległości; obserwowałem pękające pociski. Mimowoli przypomniło mi się porównanie, że wygląda to tak, jakby ktoś paląc cygaro wypuszczał powoli leniwe obłoczki dymu. Wyglądały wtedy tak niewinnie, jak małe, wlniste chmurki, zwane „barankami”, które wleczą się po niebie w upalne, letnie dni. Ale tu widziałem coś zupełnie odmiennego. Rude, zwoje dymu wybuchaly nad lasem, rozprężając gwałtownie swe potworne cieleśka. Zdawało się, że gromady wiedzń niesamowitych zawisły nad lasem, dotykając go faldami szat porzeczonych. Zdawało się, że jakieś okrutne przekleństwo ukazuje tam w welonach dymu swoją złowroga

twarz. Jakby na jedno skinienie rozgniewanego boga, padały olbrzymie pociski na skraj lasu, gdzie silnie umocnione pozycje rosyjskie stanowiły poważną zaporę w kierunku S. Granaty rozdzierały drzewa i podcinały je jakby jednym uderzeniem olbrzymiego topora. Olbrzymie słupy ziemi wylatywały raz po raz w powietrze. Las zdawał się drzeć w posadach i jęczeć głucho.

Niebawem odezwały się armaty rosyjskie. Był to niejako pierwszy rekonesans lekkiej artylerii nieprzyjacielskiej! Szukano nas, szukano przede wszystkim wedle wskazań taktyki rosyjskiej linii rezerw, aby je gwałtownym ogniem osłabić, zdemoralizować i do wszelkiej akcyi zniechęcić! Przez długi czas pociski padały albo daleko przed nami, albo daleko za nami. Wreszcie zaczęły się zbliżać powoli, ale nieuchronnie. Koło południa artyleria rosyjska miała nas, jak zwierzyne na wizerze. Szrapnele pękały ponad naszymi głowami, a granaty wybuchaly na linii. Odłamki granatów i kule szrapnelowe świstały blisko, zegary wpadały do środka, perkocząc, jak ptaki olbrzymie.

Mimo to wszystko jednak ten pierwszy ogień artyleryjski nie przyniósł nam prawie żadnych strat. Równie nieszkodliwym okazało się także i działanie ciężkich armat rosyjskich, które rozpoczęły swój koncert popołudniu i pracowały niezamordowanie aż do wieczora, kiedy to drugi pułk po raz pierwszy próbował atakować tę tak ważną pozycję rosyjską. *Dalszy ciąg nastąpi.*

TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.

## Katarzyna Sforza-Riario.

Kobieta-władca.

2

Riariowi podobała się ta rada żony. Zaraz nazajutrz udał się z liczną świtą do „świętego miasta”. Nie trudno było mu namówić do wojny z Neapolm starzejącego się już, chorowitego papieża, który marzył ciągle o uświetnieniu swojej rodziny. Słabego charakteru wuj oddał swój skarbiec na usługi ambitnego siostrzeńca i wezwał baronów romańskich do wypowiedzenia służby królowi Ferrante. Poddali się jego rozkazowi: Virginio Orini, Stefan i iGordano Colonna z Palestreny i Savelliowie. Jednych tylko Colonnów paliańskich nie przerażała groźba Sykstusa IV; nie opuścili Neapolu. Mszcząc się za ich nieposłuszeństwo, wtrącił papież kardynałów z domu Colonna do więzienia.

Zdawało się mężowi Katarzyny, że dość wypowiedzieć wojnę Neapolowi, aby zdobyć koronę królewską. Omylił się srodze. Zamiast się uko-

rzyć przed ambicją Riariów i Roverów, wysłał król Ferrante swoje wojską przeciw Rzymowi. Prowadził je jego syn, don Alfonso di Calabria, a prowadził dobrze, szybko. Jeszcze nie zdążył Riario zebrać band najemnych, kiedy don Alfonso stanął już przed bramami stolicy papieskiej.

Padł strach na rzymian. W pobliżu miasta rozłożył się nieprzyjaciel obozem, gotując się do bombardowania. A w mieście zabawiali się najemni żołnierze Riaria rabunkiem sklepów kupieckich, szynków i gwałceniem dziewcząt.

Żołnierz kradł, zabijał każdego, kto usiłował powstrzymać jego swawolę, a wodzowie ogrywali się tymczasem w kości, w karty, upijali się najprzedniejszym winem i przepędzali noc w willach „czcigodnych kurtyzan”. Kierownikiem tej orgii był Riario, który, wydostawszy się

### III.

na rozpyty społeczne, rozhułał się aż do rozpusty i siał cudzemi pieniędzmi, niby piaskiem. Zamiast iść w pole przeciw wrogowi, zabarykadował się w dzielnicy laterańskiej. Bazylikę zmienił w główną kwaterę, a jej ołtarze w stoły do pijactwa i gry. W kilka dni przepuścił całą znaczną sumę dukatów, wypłaconych mu z kasy watykańskiej na potrzeby wojenne.

Zrozumiał papież, że tacy wodzowie, jak jego ukochany siostrzeńiec, nie wygrają bitew. W obawie o Rzym wezwał do pomocy wojska wenezańskie pod dowództwem rozgłośnego kondotyera, Roberta Malatesty, tyrana Rimini. Malatesta przybył natychmiast, wyprowadził wojsko papieskie z Lateranu, rzucił się na don Alfonsa di Calabria i pobił go w ciągu jednego dnia pod Campo Morto (21 sierpnia 1482 r.).

Zmartwił się Riario zwycięstwem Malatesty, w którym nie brał sam udziału, bo zawodowy kondotyer nie dopuścił go do krwawej roboty, obawiając się jego niedoświadczenia. Zamiast wysunąć go na front boju, kazał mu pilnować z tyłu namiotów.

Tego lekceważenia nie mógł ambity, najświeższej daty parweniusz przelknąć. Rzym dziękował Malatestę tryumfalnym przyjęciem, uwielbieniem, a on myślał nad tem, jak pozbyć się rywala, który mu zawadzał.

Pomogła mu śmierć. Roberto Malatesta zeszedł wkrótce z drogi Riaria. Zabiła go jakaś „choroba żółdkowa”. Chorobę tę nazwał Rzym jednogłośnie... trucizną wikaryusza Imoli...

By pocieszyć swojego nepocika, wyznaczył mu Sykstus IV za „zasługi, położone dla Rzymu”, dożywotnią pensję i obiecał zdobyć dla niego zamki i dobra Colonnów i Savellich, prastarych dynastów Romanii.

Otoczenie papieża dziwiło się jego z każdym dniem rosnącej miłości dla siostrzeńca.

Hieronim nie odznaczał się niczem, ani odwagą, walecznością, ani wiedzą, talentem, a choćby tylko chłopskim sprytem i urodą. A mimo to wzywał go wuj do narad dyplomatycznych i postawił go na najwyższym szczeblu hierarchii watykańskiej. Jemu to, bezmyślnie rozpustnemu hulacy, oddał klucze do skarbcza papieskiego, jemu, prostakowi bez znajomości prawa, powierzył ferowanie wyroków; jemu, łapiącemu pieniądze, gdzie się tylko dało, pozwolił według jego widzimisię nakładać na kościoły kontrybucje i dręczyć urzędników kościelnych dowolnymi podatkami.

Bezkrzytyczna miłość dla rodziny zasłoniła madre oczy Sykstusa IV, iż nie widziały niczego okrom prośb, chciwości i ambicji brataników i siostrzeńców.

Najemne bandy Hieronima Riaria otoczyły wzgórze paliańskie (w sierpniu 1484 r.). Stały tu już od kilku tygodni, pnąc się bez skutku pod górę.

Bo ze szczytu tej góry śledził je stary zamek rycerski, przywykły od setek lat do czujności. Każdy ruch nieproszonych natrętwów spostrzegał i sypał na nich taki grad kul moździerzowych i kamieni, iż odechciało się im stukać mieczem bez pozwolenia gospodarza do bram warowni.

Zamki i rozległe włości Colonnów drażniły żarłoczność Hieronima. Zagarnąć je, zdobyć pragnął, nie policzywszy się ze swymi siłami. Tam, na górze, gnieździły się orliki rycerskie, dzieci wojny od czasów niepamiętnych, skąpane w krwi, zahartowane w ogniu bitew. Zginą, ale nie poddadzą się... A on, synek małomiejskich rybaków i handlarzów? Umiał tylko pożądać, ostrzyć zęby na cudze mienie i odgrywać rolę mocarza pod obronną ręką papieża. I umiał także zabijać bezbronnym. Posła Colonnów kazał zadźgać jakimś zbirowi; Wawrzyńca Oddone Colonne, protonotaryusza kuryalnego, prałata, znanego z prawości, szanowanego powszechnie w Rzymie, napadł w jego pałacu, uwięził i oddał w ręce kata. Ale w obliczu bitwy kurczył się, małał, chował się za płótno namiotów, drząc przed kulą i mieczem.

Dowiedziała się Katarzyna o tchórzostwie męża w bitwie pod *Campo Morto* i postanowiła towarzyszyć mu zawsze w wyprawach wojennych. Nie o jego sławę i potęgę jej chodziło, bo nie zasłużył na jej miłość, lecz o obszerniejsze państwo dla siebie i dzieci. Troje ich już miała, a czwarte nosiła właśnie pod sercem. Za mało dwóch miasteczek dla licznej rodziny — sądziła. Ziemi, więcej ziemi i jaknajwięcej zamków pożądała jej ambicya. A Colonnowie posiadali liczne dobra i mnóstwo warowni. Pobić ich, zdeptać i zagrabić ich prastarą ojcowiznę!... Wszakże tą drogą szli jej dziad i pradziad i doszli do szczytów społecznych... Z chłopów stali się książętami...

Katarzyna przybyła z mężem do Paliano i śledziła przebieg walki. Ilekroć najemni żołnierze wracali z gór do obozu z okrwawionymi czerepanami, zacinając zęby, sycząc: podła horta; bić się ta kanalia nie umie; kazałabym ich powywieszać, gdyby to odemnie zależało...

Wrząca krew Mucia Attendola, zwanego Sforzą, i jego syna, Franciszka, pradziada i dziada, nie ostygła w jej żyłach. Inni Sforzowie zgnuśniali już, osłabli w zbytku i na tronach książęcych, grzęznąc w rozkoszach życia. W niej tylko jednej, aczkolwiek była ich nieprawą córką, nie zgasł duch twórców drapieżnego rodu, przywykłego do zwycięstw.

Kiedy po trzydziestym, nieuda-

nym szturmie na zamek paliański Riario wrócił zniechęcony do namiotu, przyjęła go żona zmarszczonym czołem i drżącymi ustami.

— To dyabły, nie ludzie, ci Colonnowie — rzekł, siadając ociężale na ławie. — Czwartą już tydzień szturmuję ich gniazdo, a ono stoi, jak stało.

— I będzie stało tak dalej, jak dziś stoi, mietknięte, całe, jeżeli się nie nauczysz prowadzić osobiście swoich band — odezwała się Katarzyna półgębkiem. — Żołnierz walcz tylko wtedy chętnie, bez trwogi, gdy widzi wodza na froncie. Przykład naczelnika podnieca go, wstrzykuje w jego żyły eliksir odwagi.

— Chciałabym, aby która z tych przeklętych kul, co sypią się od świtu do nocy z dyabelskiego gniazda Colonnów, pogruchoła kość; twoje go męża? — zachnął się Riario.

— Kule omijają odwanych. Fortuna sprzyja zuchom.

— I waleczni giną.

— Gina śmiercią zaszczytną.

— Pluję na taką zaszczyt. Wole długie, wygodne i dostatnie życie.

— Jeżeli tak pojmujesz obowiązki władcy, nie pozostaje nam nic innego, jak wrócić do Forli. Słyszę już drwiący śmiech zwycięskich Colonnów.

Riario zerwał się z ławy. Drwiny Colonnów podcięły jego ambicyę. U wziął się przeciw na dumnych baronów albańskich, którzy lekceważyli ordynarnego nepota papieskiego, — przysiągł, że zetrze ich z kuli ziemskiej. Miałby odstąpić od oblężenia zamku paliańskiego i wystawić się na pośmiewisko rzymskiego ludu?

— Nie, nie odstąpię — krzyczał ochryplym głosem pijanego chłopca — od moich zamiarów. Ziemie i zamki Colonnów muszą przejść w moje ręce. Od czegoż jestem siostrzeńcem papieża? Od tego, abym posiadał wszystko, co się mnie podoba.

— Spiesz się — mówiła Katarzyna — bo doszły mnie wieści, że Ojciec Święty ciężko zaniemógł, a jego śmierć wytrąca nam z rąk środki do walki z Colonnami i zepchnie nas z tronu Imoli i Forli, Spiesz się, powtarzam. Jeśli cię kule moździerzowe przerażają, dosiądę jutro sama konia i poprowadzę nasze bandy do ataku.

— Chciałabym się narazić na grad tych strasznych kul? — zawołał Riario zdumiony.

— Jestem prawnuczką Mucia Attendola Sforzy — odrzekła Katarzyna, podnosząc głowę dumnie.

Wtem wszedł do namiotu dyżurny oficer i oznajmił przybycie kurjera watykańskiego.

— Niech wejdzie! — rozkazał Riario.

Ukazał się trabant papieski, skłonił się i podał hrabiemu pergamin.

Riario rozwinął list i czytał. Czytał, raczej sylabizował długo.

Doszedłszy do ostatniego wiersza, wracał do pierwszego po trzy razy. Jakieś złowrogie wiadomości musiało zawierać to pismo, bo podziało na niego, jak działa nagły strach na tchórze. Poblądł i zachwiał się na trzęsących się nogach, niby podcięte drzewo. Cichym, pokornym głosem rzekł:

— Wykonam rozkaz św. Kolegium.

Po wyjściu trabanta zapytała Katarzyna:

— Cóż się stało? Czyby spadło na nas jakie nieszczęście?

Zamiast odpowiedzi, podał jej hrabia pergamin.

I ona przybladła, odczytując pismo watykańskie, i jej zawsze dumnie podniesiona głowa zwiśla, jak złamany kwiat, i jej pogardliwie wysunięte wargi zdrząły.

Św. Kolegium kardynalskie donosiło nepotą do śmierci papieża (12 sierpnia 1484 r.), rozkazało mu odstąpić od oblężenia zamku paliańskiego i wrócić natychmiast z wojskiem do Rzymu.

Znaczyło to: skończyła się twój karjera, ustały twoje rządy, rozwiął się w proch twój tygrysi apetyt na cudze mienie. Odstaw wojsko do Rzymu, bo ono nie twoje, lecz papieskie...

— Zginęliśmy! — bąknął Riario.

Katarzyna ochłonęła się z przynębiającego wrażenia. Podrzuciwszy głowę, jak bojowy rumał, gdy trąbią do ataku, rzekła:

— Jeszcze nie. Jeszcze nie zasiał na tronie nowy papież, któryby nas mógł zdruzgotać. Mając krewnych w św. Kolegium, możemy wpłynąć na wybory.

Szeroko otworzył Riario oczy. Dziwił się śmiałej pomysłowości dwudziestoletniej madonny.

— Będzie trudno wpłynąć na wybory — zauważył. — Nie lubią mnie w Rzymie.

— Nieprzyjaźń a nawet mienawiść bywają bezsilne wobec przemocy i mądrego podstęp — uczyła Katarzyna męża. — Niech sobie kardynałowie rozkazują piórem, a my będziemy rozkazywali przebiegłością i mieczem. By się jednak nasze zamiary udały, trzeba nam zawładnąć przedewszystkiem rzymską warownią Św. Anioła. Pan Św. Anioła jest panem Rzymu, a pan Rzymu może zmusić kardynałów do powolności.

— Nie wpuszczą mnie do fortecy.

— Ciebie nie wpuszczą, ale przedemną otworzą się bramy Św. Anioła. Kobiety nie będzie nikt podejrzewał o zamach na Watykan. Jutro ze świtem ruszę do Rzymu z naszą przyboczną strażą. Ty zostaniesz kilka dni w Paliano, w obozie, i przyjedziesz dopiero wtenczas, kiedy ci dam znak przez kuryera, że zagospodarowałem się już w fortecy.

*Dalszy ciąg nastąpi.*

WIKTOR GOMULICKI.



*Trzeba na nowe tory pchnąć ten stary świat;  
Dość już złości i zbrodni, ucisków i zrad!  
Niechaj ten bezprzykładny, ten półworny bóg  
Da spodłonej ludzkości lepszy ducha krój.*

*Już murów pękających słyhać trzask i grzmot;  
Kruszy budynek świata niewidzialny młot —  
Na ruinach niech Jutro wybuduje nam  
Nie Molocha bóżnicę lecz Chrystusa chram!*

## À la Rousseau...

Nie widziałem przyjaciela od dziesięciu zgórą miesięcy. Mniej-więcej od dnia, kiedy to z dworca — naówczas jeszcze Piotrogrodzkiego — ewakuowały się ostatnie pociągi z uciekinierami. A czytając potem niejednokrotnie wieści z „mateczki” Rosyi, litowałem się w myśl nad dolą marnotrawnego, jego żony, dzieci, całego dobytku domowego, który uwiozł był z sobą w daleką dobrowolną wędrówkę...

— Waryat!

Litość nierzadko przechodziła w oburzenie:

— Idyota!

Aż tu nagle, w pogodny ranek majowy, spostrzegam waryata i idyotę w jednej promieniejącej osobie na ławeczce w Alei 3-go maja. Rzecz prosta, rzucam się obu na szyję!

— Jakim cudem, chłopie? Z jakiego nieba?

— Z Kałuszyńskiego, jeśli się tak wyrazić wolno.

— Chciałeś rzec chyba: z Kałuźskiego, bo o ile mi z geografii, do niedawna jeszcze „ojczysteji”, wiadomo, miastu gubernialnemu w głębi Rosyi na imię—Kaługa.

— Ale miasteczku w Polsce — Kałuszyn.

Potrochu porozumieliśmy się. W godzinę, wiedziałem już wszystko. Przedewszystkiem, ustaliliśmy fakt, że nie wszystkie pociągi, wychodzące z danej stacyi (choćby stołecznej) w określonym kierunku, dochodzą do miejsca przeznaczenia: zwłaszcza podczas wojny... Po drugie: jako ostatni bywają często pierwszymi, tak też ostatnie pociągi (choćby z ewakuowanymi) mają to szczęście, że stają się pierwszymi, które wpadają w ręce nieprzyjacielskie. Ale tym razem stało się coś zgoła trzeciego. Pociąg z przyjaciелеm nie wpadł w ręce następującego nieprzyjaciela z tej prostej przyczyny, że go wcale nie było. To jest, pociąg, nie nieprzyjaciela. Zginął w drodze. Znow pociąg, nie nieprzyjaciel... Splonął. I nie z przypadku. Z zasady. Ta sama zasada uratowała załogę ewakuowanych i wysadziła ich na ląd. Baba z wozu, koniom lżej... Jakoż lokomotywa z „naczelstwem” zdolała zbiedz szczęśliwie.

Wszystko to działo się zgoła nie w pobliżu Warszawy, ani nawet Kałuszyna, ale już na pełnem bezmała morzu błot... I nie nazajutrz po wyruszeniu z

Warszawy, ale conajmniej w trzy ofensywy później. Przyjaciel zdążył nietylko zapuścić brodę, ale nawet posiwieć...

Nie bez humoru opowiada dalej, jak się następnie cofał w porządku ku przyrodzonym granicom serca i... okupacyi... Humor opuszcza go jedynie przy wylczeniu, ile i jakie rodzaje chorób nawiedzały jego i jego rodzinę w tej marnotrawnej tułaczce krajoznawczej i ile to pochłonoło wywożonego z kraju grosza! Na przedostatnim etapie odwrotu staje wobec alternatywy: albo zapłacić resztę ewakuowanego „majątku” za furkę do Warszawy, albo — — —

Aliści, nie przysypyany doszczętnie atawizm *rusticus’a* odżywa w mieszcuchu... *Beatus ille!* Domek, trzy morgi ziemi ogrodowej, zdrowotność... Okazy: za bezcen prawie... Nie namyśla się chwili!...

I oto go widzi — nowego *Jean Jacques’a* w roku pańskim 1916-m a wolny światowej drugim! Mniejsza o brodę: zresztą, jest mu w niej wcale do twarzy... Ale jakie życie jest piękne! A natura!... Wiesz że ty, człeku z miasta, który cukier przepłacasz na wagę złota, jak się go z własnych buraków wyciąga?! Jak się na kamieniu miele mąkę? A ile też, myślisz, z dwójga królików w ciągu 9 miesięcy przyrość może plutonów progenitury?! Jeszcze rok jeden, a utworzę całą dywizję!... A jadłeś że ty kiedy, podły mieszcuch, własną szynkę, rozdony mózg cielecy, swoje nóżki baranie?!... Gdybyś mi jeszcze dał wierny przepis na mydło, a życie byłoby snem, choć przyznać muszę, że sen mam twarzą, jak te oto — — —

Nie bez podziwu pomacałem ręce przyjaciela.

— I nie choruję nigdy, zdrów jestem! Hu!... — chępliw się dalej przyjaciela...

— Zazdroszczę ci — wyszeptalem szczerze po chwili milczenia...

Gawędziłszy jeszcze dobrą godzinę, Ale musieliśmy się rozstać, bo przyjaciel spieszył na kolejkę.

— Ach, żeby tylko ta wojna się skończyła!...

— Dlaczego?

— Sprowadziłbym się zaraz do Warszawy — odrzekł melancholijnie.

*B. Górczyński.*



## B A K.

21

— Cóż mnie to obchodzi, że im się podoba bawić lalką z galganków jeżeli tylko będą pracować dla dobra sprawy i jeżeli tą drogą uda się doprowadzić do wybuchu powstania? Każdy kij jest dobry, gdy się chce psa uderzyć; a tu chodzi przecież o to, żeby podburzyć lud przeciw austryakom.

— Jakiejże pomocy żadasz pan odemnie?

— Tylko tej, żebyś mi pani mogła w przemycaaniu palnej broni.

— Ale jakże ja to zrobię?

— Pan! właśnie jesteś osobą, która to najlepiej zrobić może. Zamierzam kupować broń w Anglii. Sprowadzenie jej przedstawiać będzie wielkie trudności. O dostawie do papieskich portów niema co i myśleć. Broń ta musi przechodzić przez Toskanię a potem dopiero dostać się w góry.

— To znaczy, że zamiast jednej granicy będą dwie.

— Tak; ale innej rady niema. Nie można przeszwarować wielkiego transportu przez port, w którym niema handlu, a jak pan; wiadomo, cały ruch okrętowy w Civita Vecchia ogranicza się do trzech łodzi wioślarskich i rybackiego jednomasztowca. Gdyby się jednak udało wprowadzić broń do Toskanii, ja, biore granicę papieską na siebie; moi ludzie znają każdą ścieżkę w górach i mamy tam mnóstwo kryjówek. Transport musi przyjść morzem do Livorno; i w tem leży cała moja trudność; nie znam tamtejszych przemytników, a myślę, że pani ich znasz.

— Daj mi pan pięć minut czasu do namysłu.

Pochyliła się, opierając łokieć na kolanie i brodę na rękę. Po pewnym milczeniu podniosła głowę.

— Być może, iż potrafiłabym być panu pomocną w tej części roboty — rzekła — ale nim pójdziemy dalej, muszę pana o coś zapytać. Czy możesz mi pan dać słowo, że broń ta nie będzie użyta do żadnych skrytobójczych, gwałtownych celów?

— Bezwątpienia. Samo się przez się rozumie, że nie prosilibym panią o współudział w działaniu, które pani potępiasz.

— Kiedy mam dać panu stanowczą odpowiedź?

— Czasu do stracenia niema; ale mógłbym udzielić pani kilka dni do namysłu.

— Masz pan wieczór sobotni wolny?

— Zaraz. Dziś jest wtorek. Tak.

— Więc przyjdź pan tutaj. Rozważę wszystko dokładnie i dam panu stanowczą odpowiedź.

\* \* \*

Następnej niedzieli Gemma posłała Komitetowi florenckiego oddziału partyi Mazzini'ego piśmiennie oświadczenie, że podjęła się pewnej politycznej roboty, która nie pozwoli jej spełniać w ciągu paru miesięcy czynności, jakie dotychczas wykonywała dla stronnictwa.

Oświadczenie to przyjęto z pewnym zdumieniem, ale Komitet przyjął je bez żadnych zastrzeżeń; od kilku lat znano ją jako osobę, na której rozsądku można było polegać; członkowie zatem uznali, że skoro Signora Bolla przedsięwzięła taki nieoczekiwany krok, musiała mieć ważne powody po temu.

Martini'emu powiedziała Gemma otwarcie, że postanowiła pomagać Bąkowi w pewnej „granicznej robotce“. Zastrzegła sobie prawo powiedzenia tego staremu przyjacielowi, by nagła tajemniczość nie popsuła harmonii ich dotychczasowego stosunku. Zresztą zdawało jej się, że mu się ten dowód zaufania należy. Martini przyjął jej słowa w milczeniu, lecz Gemma odgadła, że wiadomość ta ubodła go głęboko.

Siedzieli na tarasie jej mieszkania, patrząc na czerwone dachy Fiesole. Po długim milczeniu Martini wstał i zaczął się przechadzać tam i napowrót w rękami w kieszeniach, pogwizdując zeicha, co było u niego zawsze oznaką wewnętrznego wzburzenia.

Gemma spoglądała na niego czas jakiś.

— Cezarze, ciebie to zmartwiło — rzekła wreszcie. — Przykro mi, żeś to tak wziął do serca; ale postąpiłam, jak mi się słusznem wydało.

— Tu nie o samą rzecz chodzi — odparł posępnie. — Nie o niej nie wiem, ale prawdopodobnie wszystko jest w porządku, skoro zdecydowałaś się przyłożyć do tego rękę. Ale nie dowierzam temu człowiekowi.

— Sądziś go niesprawiedliwie; podobnie jak ja, dopóki go lepiej nie poznałam. Daleko mu do doskonałości; ale jest o wiele lepszym, niż ci się zdaje.

— Być może.

Czas jakiś chodził znów tam i napowrót w milczeniu; poczem nagle stanął przed nią.

— Gemmo, cofnij się! Cofnij się, dopóki nie będzie zapóźno. Nie

pozwalaj temu człowiekowi wciągać cię w rzeczy, których potem żałować możesz.

— Cezarze! — odrzekła łagodnie. — Nie zastanawiasz się nad tem, co mówisz. Nikt mnie w nic nie wciąga. Powzięłam to postanowienie z własnej woli, dobrze je wpięrow rozważywszy. Nie lubisz Rivareza, wiem o tem; ale tu wchodzi w grę polityka a nie osobiste sympaty.

— Madonno! Strzeż się! To człowiek niebezpieczny. Jest tajemniczy, okrutny, bezwzględny i — kocha się w tobie.

Gemma drgnęła.

— Cezarze! Skąd takie myśli przychodzą ci do głowy?

— Kocha się w tobie! — powtórzył Martini. — Madonno! trzymaj się od niego zdaleka.

— Kochany Cezarze, nie mogę trzymać się od niego zdaleka i nie mogę ci wytłumaczyć, dlaczego. Jesteśmy związani w sposób, nie mający nic wspólnego z osobistymi względami.

— Skoro jesteście związani, to niema o czem mówić — odpowiedział Martini ze smutkiem.

Odszedł, mówiąc, że ma pilną robotę, i godziny całe włożył się bez celu po błotnistych ulicach. Świat przedstawił mu się w bardzo ciemnych barwach tego wieczora. Jedno biedne jagnię... cały jego skarb... i ten podstępny człowiek wślizgnął się i ukradł mu je!

## ROZDZIAŁ X.

W połowie lutego Bąk pojechał do Livorno. Gemma poleciała go pewnemu, młodemu anglikowi, który tam był okrętowym agentem. Był to człowiek liberalnych poglądów, znany dobrze Gemmie i jej mężowi; z czasów ich pobytu w Anglii, Niekiedy oddawał on drobne przysługi florenckim radykałom; pożyczając pieniędzy w nagłej potrzebie, pozwalał na adresowanie listów stronnictwa do swego biura, lecz zawsze za pośrednictwem Gemmy, jako jej osobisty przyjaciel. Mogła więc z całą swobodą skorzystać z tego stosunku, jak jej się podobało. Czy się to mogło na co przydać, bo było inne pytanie. Poprosić życzliwego sympatyka o użyczenie jego adresu dla listów z Sycylii, lub o przechowanie paczki dokumentów w biurowej kasetce, to było zupełnie co innego, niż prosić go o przeszwarowanie palnej broni dla powstańców; i Gemma wątpiła, żeby się na to zgodził.

— Możesz pan spróbować — rzekła do Bąka — ale wątpię, żeby się to na co zdało. Gdybyś pan na moją rekomendację poprosił go o pięć tysięcy skudów, jestem pewna, że dał by je panu natychmiast. Jest nadzwyczaj hojny — może w nagłym wypadku udzieliłby panu swego pasportu, lub ukrył jakiego zbiega w

swej piwnicy; ale jeżeli pan wspomnisz o rajflach, popatrzy na pana i pomyśli, żeśmy oboje zwaryowali.

— Może udzieli mi jakich wskazówek; zapozna z paru życzliwymi marynarzami — odpowiedział Bąk. — W każdym razie warto spróbować.

Pewnego dnia ku końcowi miesiąca Bąk wszedł do gabinetu Gemmy mniej starannie ubrany, niż zazwyczaj, ale z wyrazu jego twarzy poznała, że przynosi dobre wiadomości.

— Ach! nareszcie! Zaczęłam już myśleć, że się coś panu przytrafiło.

— Uważałem za rzecz bezpieczniejszą nie pisać, a nie mogłem wrócić wcześniej.

— Dopiero co pan przyjechałeś?

— Tak; jestem tu wprost z dyżansu. Wpadłem powiedzieć pani, że sprawa załatwiona.

— Czyżby Bailey zgodził się pomagać?

— Więcej niż pomagać; wziął wszystko na siebie; pakowanie, przewóz, wszystko. Rajfle przyjął ukryte w balach towarów i będziemy je tu mieli wprost w Anglii. Williams, wspólnik Bailey'a i wielki jego przyjaciel, zgodził się wyprawić ładunek z Southampton, a Bailey już sobie jakęś z komorą w Livorno poradzi. Dlatego bawiłem tak długo. Williams wyjeżdżał właśnie do Southampton i odprowadziłem go do Genui.

— By omówić wszystkie szczegóły w drodze?

— Tak, dopóki morską choroba nie kazała mi zapomnieć o całym świecie.

— Pan cierpisz na morską chorobę? — zapytała żywo, przypomniałszy sobie, jak Artur był chory, gdy ojciec jej zabrał ich raz na wycieczkę.

— Strasznie; pomimo że miałem tyle do czynienia z morzem. Ale ogadaliśmy wszystko po przyjeździe do Genui. Pani zna Williamsa? To zacy człowiek; rozsądny i uczciwy, jak również Bailey, i obaj umieją trzymać język za zębami.

— Tak i mnie się zdaje. Ale Bailey naraża się poważnie, biorąc coś podobnego na siebie.

— Powiedziałem mu to; a on popatrzył tylko na mnie z podelbą i rzekł: „Co panu do tego”. Typowa odpowiedź. Gdybym go spotkał w Timbaktu, poszedłbym prosto do niego i powiedziałbym mu „dzień dobry, angliku”.

— Pojąć nie mogę, jakim sposobem potrafiłeś ich pan pozyskać. I Williams! Nigdybym się tego po nim nie spodziewała.

— To też z początku sprzeciwiał się mocno; nie ze względu na niebezpieczeństwo, ale, że to tak nie ma nic wspólnego „z interesami”. Ale jakoś ułagodziłem go po chwili. A teraz pomówmy o szczegółach.

\* \* \*

Słońce zaszło już, gdy Bąk znalazł się przed swoim domem i rozkwitły japoński jaśmin, zwieszający się z ogrodowego muru, wyglądał ciemno w szarej poświacie zmroku. Bąk zerwał kilka gałązek i zanosił je do mieszkania. Gdy otworzył drzwi swego gabinetu, Zita skoczyła z krzesła w kącie i pobiegła ku niemu.

— Och! Felice! Myślałam, że nigdy nie wrócisz!

W pierwszej chwili chciał ją zapytać ostro, co robi w jego gabinecie, ale przypomniałszy sobie, że nie widzieli się od trzech tygodni, podał jej rękę i rzekł chłodno:

— Dobry wieczór. Zito; jak się masz?

Podsunęła mu usta do pocałunku, ale on przeszedł, jakby nie widząc tego ruchu, i wzięwszy wazon ze stolika, zaczął układać w nim jaśmin. W tejże chwili drzwi otworzyły się na rozcież; kudłaty pies wpadł pędem i rzucił się ku niemu, skacząc i skomląc z radości. Bąk położył kwiaty i schylił się, by pogłaskać psa.

— Dobrze już, dobrze. Sheitanie. Tak, to ja. Jak się masz, pocziwe psisko!

Twarz Zity spochmurniała.

— Pójdziemy na obiad? — zapytała chłodno. — Zamówiłam go u siebie, bo pisałeś, że przyjedziesz dziś wieczorem.

Odrzucił się żywo.

— B...bardzo mi przykro! Niepotrzebnie czekałaś na mnie! Ogarnę się trochę i przyjdę zaraz. Włóż, proszę, te kwiaty do wody.

Gdy wszedł do jadalnego pokoju Zity, zastał ją przed lustrem, przypinającą gałązkę jaśminu do stanika. Widocznie postanowiła być w dobrym humorze i podeszła do niego z bukietem tych samych kwiatów w ręku.

— To dla ciebie do butonierki. Daj, to ci przypnę.

Podczas obiadu Bąk starał się być uprzejmym i gawędził o potocznych rzeczach; a Zita była rozpromieniona. Ta jej wielka radość z jego powrotu była mu poniekąd kłopotliwą niespodzianką. Tak się przyzwyczaił do tego, że każde z nich wiodło życie na własną rękę, że nie przyszło mu nawet na myśl, aby ona tęsknić mogła za nim. A jednak musiało tak być, skoro się tak cieszyła.

— Wypijmy kawę na tarasie — rzekła — wieczór dziś taki ciepły.

— Bardzo dobrze. Czy mam wziąć twoją gitarę? Może co zaśpiewasz?

Zarumieniła się z radości; Bąk był bardzo wybrednym na punkcie muzyki i nie często prosił ją, żeby śpiewała.

Na tarasie szeroka, drewniana ławka biegła wzdłuż balustrady. Bąk wybrał sobie kąciek z widokiem na wzgórze, a Zita usiadła na balustradzie, opierając nogi o ławkę a plecy

o filar dachu. Piękne widoki niewiele ją obchodziły; wołała patrzeć na Bąka.

— Daj mi cygaretkę — rzekła. — Nie palitam od twojego wyjazdu.

— Doskonała myśl! T...tego tylko brakowało mi do szczęścia.

Pochyliła się ku niemu, patrząc na niego uważnie.

— Czy naprawdę jesteś szczęśliwy?

Bąk podniósł w górę swe ruchliwe brwi.

— Tak; czemu by nie? Zjadłem dobry obiad; patrzę na jeden z najpiękniejszych widoków w Europie; a teraz napiję się kawy i usłyszę węgierską, ludową piosenkę. Nie mam nic na sumieniu; trawię doskonale, czegoż więcej człowiek może żądać?

— Jest jeszcze coś, czego możesz żądać.

— Co takiego?

— To!

Rzuciła mu na kolana tekturowe pudełko.

— P...p...lone migdały! Czemu żeś mi nie p...powiedziała, zanim zacząłem palić! — zawołał z wyrzutem.

— Ach! ty dzieciaku! Możesz je zjeść, gdy skończysz palić. A! Otóż i kawa.

Bąk popijał kawę, przegrzyżając palonemi migdałami, ze skupionem zadowoleniem kota, chlapiącego śmieć.

— Jaka to przyjemność skosztować przyzwoitej kawy po tem szkaradzeństwie, które się żłopie w Livorno — zauważył przeciągle.

— Bardzo dobry powód do zostania w domu, skoro już raz wróciliśmy.

— O! nie dla mnie taki bał! Wyjeżdżam znów jutro.

Uśmiech znikł z twarzy Zity.

— Jutro? Gdzie? Po co?

— Tu i tam... za interesami.

Urządzili z Gemma, że musi osobiście udać się w Appeniny dla porozumienia z pogranicznymi przemysłnikami w sprawie owej broni. Przejście papieskiej granicy łączyło się dla niego z poważnem niebezpieczeństwem; ale nie było innej rady.

— Zawsze te interesa! — westchnęła Zita pocichu; poczem zapytała głośno:

— Na długo jedziesz?

— Nie; na jakie dwa, trzy tygodnie, najdalej.

— To zapewne ten sam, co zawsze interes? — spytała nagle.

— Ten sam?

— No, tak; ten, dla którego prędzej czy później nadłożysz głowa; ta nieszczęsna polityka.

— W istocie... coś koło tego.

Zita rzuciła cygaretkę.

— Oszukujesz mnie — rzekła. —

A ja przeczuwam, że ci grozi jakieś wielkie niebezpieczeństwo tam, gdzie jedziesz...

— Jadę prosto do piekieł — odpowiedział żartobliwie. — Może masz

tam znajomych, którym przezemnie chciałaś posłać ten bluszcz? Ale nie potrzebujesz obrywać go do szczętu dlatego.

Istotnie. Zita zerwała pełną garść bluszczu, obrastającego filar, i odrzuciła go gniewnie od siebie.

— Grozi ci wielkie niebezpieczeństwo — powtórzyła — ale się przedemną nie przyznasz. Czy myślisz, że ja jestem dobra tylko do żartów i do zamydlenia oczu? Doigrasz się szubienicy którego pięknego dnia, i nawet się przedemną ze mną nie pożegnasz. Zawsze tylko polityka, polityka — kością w gardle stała mi ta polityka!

— I mnie również! — rzekł Bąk, ziewając — dlatego, może będziemy mówili o czym innym, albo lepiej zaśpiewaj.

— Dobrze. Więc daj mi gitarę. Co mam śpiewać?

— Balladę o straconym koniu; ona tak leży w twoim głosie.

Zita zaczęła śpiewać starą, węgierską balladę o wojaku, który stracił naprzód konia, potem dom, potem kochankę, i pociesza się myślą, że „więcej stracono na polach Mohacz”.

Była to ulubiona piosenka Bąka; jej dzika, tragiczna melodia i gorzki stoicyzm powtarzającej się zwrotki dziwnie mu trafiały do duszy.

Zita była wyjątkowo przy głosie; dźwięki wybiegały z jej ust czyste i jasne, pełne namiętnej żądzы życia. Włoska i niemiecka muzyka nie leżały w zakresie jej wokalnych uzdolnień, ale węgierskie ludowe piosenki śpiewała wspaniale.

Bąk słuchał z oczyma szeroko otwartymi; nigdy jeszcze nie słyszał jej śpiewającej w ten sposób. Gdy doszła do ostatniej zwrotki, głos jej począł drżeć.

„Ach! mniejsza o to. Więcej stracono...”

Urwała i ze spazmatycznym łkaniem ukryła twarz w girlandy bluszczu.

— Zito! — Bąk wstał i odebrał jej z rąk gitarę. — Co tobie jest?

Ale ona łkała w dalszym ciągu coraz gwałtowniej, zakrywając twarz obu dłońmi. Bąk położył jej rękę na ramieniu.

— Powiedz mi, co ci się stało? — rzekł pieszczotliwie.

— Zostaw mnie — wybełkotała, usuwając się, jakgdyby ją jego dotknięcie sparzyło — zostaw mnie!

Usiadł spokojnie na dawnym miejscu i czekał, aż przestanie płakać. Nagle uczył jej ramiona oplatające mu szyję. Zita klęczała przy nim na ziemi.

— Felice! — Nie jedź!... Nie odjeżdżaj!

— Pomówimy o tem później — rzekł, uwalniając się łagodnie z jej uścisku. — Powiedz mi naprzód, co cię tak rozdrażniło. Czy przestraszyła się czego?

Wstrząsnęła milcząco głową.

— Czy ja ci wyrządziłem jaką przykrość.

— Nie!

— Więc co?

— Zabijają cię! — wyszeptała wreszcie. — Słyszałam, jak jeden z tych, co tu przychodzą, mówił, że narażasz się ogromnie; a gdy ja cię pytam, to się tylko śmiejesz ze mnie.

— Moje drogie dziecko — rzekł Bąk zdziwiony — poco sobie nabijasz głowę takimi przesadzonemi domysłami? Zapewne, że kiedyś zabiją mnie... Od tego jestem rewolucjonistą. Ale niema najmniejszego powodu przypuszczać, że mnie to teraz właśnie spotka. Nie narażam się bardziej, niż inni.

— Inni... co mnie inni obchodzą! Gdybyś mnie kochał, nie postępowałbyś w ten sposób, żebym ja po całych nocach leżała, dręcząc się myślą, że cię zaaresztowano, lub gdy usnę, żeby mi się śniło, że cię zabili. Więcej dbasz o twego psa, niż o mnie!

*Dalszy ciąg nastąpi.*



### Warszawa w Sonetach.

Wykwintna nowelistka i poetka, p. Zuzanna Rabska, wydała w milej, archaizowanej szacie cykl sonetów poświęconych Warszawie. Wiersze te są dedykowane ojcu, p. Aleksandrowi Krausharowi, który „nauczył poetkę rozumieć duszę Warszawy”. W formie opracowanej z troskliwością p. Rabska zamyka wzruszenia swoje na widok „Panoramy Warszawy”, opowiada o wspomnieniach, jakie się tłoczą do piersi każdego polaka u Fary, a Łazienki potracają o sny o podędze. Belweder, Pod Blachą, Kolumna Zygmuntońska, Pomnik Kopernika, Sasaki Ogród, Powązki, Wilanów oraz Jabłonna znalazły swój wyraz artystyczny w rzeźbionych kształtach sonetów. Niektóre z nich drukowaliśmy na łamach naszego „Romansu i Powieści”. Zbiorek zamyka sonet zatytułowany „5 sierpnia”:

*Za chwile ich nie będzie... Ostatnie  
[wybuchy  
Na przedmieściach gdzie huczą  
struchlatej Warszawy...*

I gdy szósta wybieje: „Po twej władzy, Moskwo — i po twej sile” nic nie pozostanie. Historji odwróciła się karta: „Warszawa w Sonetach” p. Z. Rabskiej należy do tych miłych utworów, które mogą się w pamięci ludzkiej zapisać na trwałe i stać się doskonałemi ilustracjami uczuć i myśli związanych z naszą stolicą.

### O znikomości Rad.

P. Antoni Marylski przypomniał polskiej czytającej publiczności starą a jedną myślowo rozprawkę Stanisława Lubomirskiego p. t. „O znikomości Rad”. Marszałek Wielki Koronny poucza, jak znikomą jest wszelka rada gadatliwa i jakim winien być czyn obywatela polskiego. Dwadzieścia pięć rozmów na tematy polityczne, społeczne, administracyjne i wojskowe są wykładnikiem mądrej polskiej racji stanu, która wtedy chciała dźwigać Rzeczpospolitą w upadku. Rozmowy te Lubomirski w formie dialogu między Znikomością i Prawdą przeprowadził. I już w pierwszej „O Radzie i Konsiliarzach” tak ze sobą rozmawiają: „Znikomość: Ja wielce się kocham w Radzie. Prawda: Nie pierwszym iestę, który się w niej tak chwalebnie zakochał. Ja też o wielu wiem, którzy, przez zakochanie się w Radzie, Państwo zgubili”.

Morał tego dialogu dał smutne następstwa. Czy dziś nauczni gorzkiem doświadczeniem już zdobyliśmy inną mądrość stanu, niż „zakochanie się w radzie”? Gadatliwe zebrańia wielu naszych stowarzyszeń społecznych i politycznych a nawet fachowych bardzo cierpią przez to „zakochanie się w radzie”.

Błędnie też rozumie się gruntowność. Z racji tej Lubomirski rzuca refleksję: „Thebaficykowie gruntownemi praw środkami opatrzeni gruntownie upadli!”

Oby dziś przy dźwięniu się narodu naszego przez gorliwość „gruntowności” nie przegadano pożytecznych wskazań.

P. A. Marylski „Znikomość Rad” poprzedził bardzo umiejętnie napisanym wstępem. Wstęp ten daje retrospektywną perspektywę, w której „Znikomość Rad” nabiera specyficznego historycznego kolorytu. Notatka biograficzna o Lubomirskim, oraz spis prac literackich Marszałka Wielkiego Koronnego dają przeciętnemu czytelnikowi pojęcie o jego życiu i dziełach. Dopiski na końcu książki edytorsko wyjaśniają poszczególne miejsca w rozmowach, wskazują na źródła pojęć tak naukowych, jak i politycznych. P. Marylski pod względem szaty wydawniczej uczynił też wszystko możliwe, by książka wyglądała pięknie. Edycja jego „Znikomości Rad” Lubomirskiego sądzić ze wszechmiar na uznanie.

### Z dziejów bojów o wolność.

Barwne pióro utalentowanego historyka, p. Henryka Mościckiego, odtwarza w formie przystępnej i zwięzłej trzy znamienne momenty powstania listopadowego: 29 listopada, Grochów i Na szaniec Woli. Dla szerokich warstw czytelników broszura ta godną jest poznania. Należy ona do biblioteczki „Wiedzy powszechnej”.

### Bój o słońce.

Baśń dramatyczna Mieczysława Guranowskiego „Bój o słońce” rozgrywa się za czasów przedhistorycznej Słowiańszczyzny. Płowa, seledynową opowieść, przeplatana wierszem i stale trzymana w napięciu prozy rytmicznej, pokazuje zainteresowania literackie p. Guranowskiego z nowej strony. Czy przysporzy autorowi sławy — przyszłość pokaże.

